

Wspomnienia z pierwszego dnia II wojny światowej w Bolesławcu

Atmosfera w Bolesławcu w sierpniu 1939 roku

Nad Polskę nadciągają czarne chmury. Zbliża się wojna. W Bolesławcu i najbliższej okolicy ludzie o niej dużo mówią, ale niezupełnie w nią wierzą, myśląc, że chmury się rozejdą. Dopiero w sobotę 26 sierpnia wieczorem tracą nadzieję. Do Bolesławca przyjeżdża starosta wieluński Niżankowski z kilkoma urzędnikami powiatowymi. Przywożą karty mobilizacyjne, które natychmiast są rozwożone po terenie gminy. Powołani rezerwiści stawiają się na Rynku z małymi węzłkami, odprowadzani przez zapłakanych najbliższych. Jeden z nich, Józef Słowiński, rano miał ślub. Podjeżdżają podwozy. Zmobilizowani żegnają się i odjeżdżają w stronę Wielunia. Ilu ich wróci? Zgromadzeni na Rynku ludzie nie rozchodzą się, jakby skamienieli. Bezwiednie rozmawiają po cichu. Panuje tajemniczość i groza. Z wystawionego w którymś z okien aparatu radiowego słychać niepokojące informacje. Niemieckie Radio Wrocław w swojej codziennej audycji „Czy to nie jest dziwne” wyśmiewa Polaków, Polskę, kpi ze słów Rydza-Śmigłego, że Polacy nie oddadzą „ani guzika z płaszczu Ojczyzny”.

Upływa kilka dni, pełnych niepokoju, ale jeszcze z odrobiną nadziei. Pryska ona już całkowicie pod wpływem słów Chamberlaina, nadanych przez radio:

Wojska niemieckie zbliżają się do granic Polski. Rozpoczyna się okres cierpień ludzkości, których końca nie można przewidzieć.

Słuchacze znieruchomieli na chwilę, a potem rozbiegli się do domów. Przecież Niemcy mogą tu być już wkrótce! Jakoż tak się stało po kilku zaledwie godzinach.

Moje wspomnienia z początku wojny

W nocy z 31 sierpnia na 1 września pewnie nikt w Bolesławcu nie spał. Moja rodzina przygotowywała się do ewakuacji. Wczesnym rankiem 1 września usłyszeliśmy jakieś głuchoe huki. Wyszliśmy z domu na ulicę. Stało tam już kilka osób. Wszyscy patrzyli na południe, gdzie na niebie widać było samoloty z polskimi znakami. Naliczyłam ich

26, leciały wzdłuż granicy. Ucieszyliśmy się, że oto polskie lotnictwo demonstruje Niemcom swoją siłę. Myliliśmy się bardzo – to były samoloty nieprzyjacielskie z fałszywymi znakami.

Tymczasem żołnierze niemieccy już wjeżdżali do Bolesławca od strony Chróścina w ulicę Wieruszowską. Zdołałam się wymknąć na rowerze na ulicę Kościelną, a następnie na Polną, gdzie w pędzie przewróciła mnie bryczka unosząca ks. proboszcza śpieszącego do jednostki wojskowej wyznaczonej w karcie mobilizacyjnej¹.

Z trudem podniosłam się i pojechałam dalej. Ulica Polna była już ostrzeliwana z karabinów maszynowych. Obok tzw. Mostku Wiewiórskiego stali żołnierze, którzy mieli go wysadzić w powietrze. Na moją prośbę wstrzymali się z tym, aby umożliwić przejazd uciekinierom. W grupie kilku bolesławian dojechaliśmy do Czastar, gdzie w kościele ludzie przystępowali do pierwszopiątkowej Komunii św. i zaraz potem szykowali się do ucieczki. Razem dojechaliśmy do Walichnowów.

Tutaj zatrzymał mnie polski oficer i zapytał, czy widziałam Niemców na własne oczy. Gdy go o tym zapewniłam, wszedł do stojącego obok pałacu i po chwili do parku-ogrodu wbiegli polscy żołnierze. Pokłękali na trawie, a ksiądz kapelan udzielił im absencji. Przekonało mnie to o tym, że oficerowie nie uważają napaści Niemców za incydent graniczny, ale za rozpoczęcie wojny.

Okropną rzeczywistość potwierdziła duża grupa osób z Wielunia; niektóre z nich były w nocnej bieliźnie, bez bagaży. Ludzie ci dramatycznie opowiadali jak uciekli przed bombardowaniem. Wcześniej rano zaczęły się sypać bomby na szpital, na hotel, na kościoły, dosłownie na cały uśpiony Wieluń. Dopiero wtedy zrozumiałam, że obserwowane rano w Bolesławcu samoloty, lecące wzdłuż granicy, były zdradzieckimi samolotami niemieckimi, które już wracały po zbombardowaniu Wielunia.

Zrozpaczeni, a jednak z wiarą w zwycięstwo, posuwaliśmy się dalej przed frontem. Dotarłam z kilkoma znajomymi aż do ostatniej miejscowości przed granicą polsko-sowiecką (w okolicy Baranowicz). Tutaj wysłuchaliśmy na plebani komunikatu radia sowieckiego, że Stalin wydał Armii Czerwonej rozkaz przekroczenia granicy i zajmowania obszarów polskich. Pop płakał, jego córki były wstrząśnięte, a my, tzw. bieżący, zawróciliśmy na zachód.

¹ Przejazd proboszcza wspominają także por. Lucjan Woźniak i pan Stanisław Dominas. Przep. M. i F. R. (zob. „Pierwszy dzień II wojny światowej w Bolesławcu. Wspomnienia” opublikowane w Dodatku do niniejszej książki).

Nim dostaliśmy się do domów, przekradaliśmy się przez linie kilku frontów, m.in. pod Kockiem, i widzieliśmy straszne zniszczenia. Dla mnie najboleśniej był widok kapitulacji polskich żołnierzy. Wśród oczekujących na oddanie broni rozlegały się strzały. To niektórzy oficerowie odbierali sobie życie – tak rozumieli wierność honorowi żołnierskiemu.

Po powrocie z ucieczki, która trwała trzy tygodnie, zastałam w Bolesławcu gruzy i dowiedziałam się, że 1 września zginęło tu 14 osób.

Pani Maria Tylkowska przekazała mi później ze zgrozą wiadomość o zdradzieckim zachowaniu się w Bolesławcu Niemców od dawna mieszkających wśród Polaków i mających dobrze prosperujące firmy handlowe. Nie ukrywali oni radości z tego, co się stało. Jeden z nich, już odtąd Franz Gottschalk (przedtem Franciszek), przyszedł z Podbolesławca do dymiącego jeszcze Bolesławca, witał entuzjastycznie niemieckich żołnierzy i rozkładając szeroko ręce, wołał w euforii: *Alles Deutschland!*

Wyznał mi potem sam, że przyszedł wtedy do Bolesławca, bo wiedział, kto pojedzie w czołgach niemieckich, a słyszał, że one spłonęły na drodze do Piask. Chciał się o tym przekonać i dowiedzieć się, co się stało z jego znajomymi żołnierzami. Skąd znał ich nazwiska jeszcze przed 1 września? Skąd wiedział, kto pojedzie w czołgach na Polskę? Oczywiście znał ich z działalności w V Kolumnie na ziemi, która dawała chleb jego rodzinie.